



Juliusz Verne

Uparty Kéraban

(Część druga)



ISBN 978-83-66980-16-7 (całość)

ISBN 978-83-66980-18-1 (cz. 2)



Juliusz Verne
UPARTY KÉRABAN

Juliusz Verne



UPARTY KÉRABAN

Przełożył i przypisami opatrzył Janusz Pultyn

**Dziewięćdziesiąta siódma publikacja elektroniczna
wydawnictwa JAMAKASZ**

Tytuł oryginału francuskiego:
Kériban-le-têtu

© Copyright for the Polish translation
by Janusz Pultyn, 2021

109 ilustracji, w tym 6 kolorowych i mapka: Léon Benett
(zaczepnięte z XIX-wiecznego wydania francuskiego)

Redakcja: Marzena Kwietniewska-Talarczyk
Korekta: Andrzej Zydorczak
Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

**Patron serii „Biblioteka Andrzeja”:
Polskie Towarzystwo Juliusza Verne’a**

Wydanie I
© **Wydawca: JAMAKASZ**

Ruda Śląska 2021

ISBN 978-83-66980-16-7 (całość)
ISBN 978-83-66980-18-1 (cz. 2)

CZEŚĆ DRUGA

Rozdział I

W którym zastajemy wielmożnego Kérabana wściekłego po jeździe drogą żelazną

Jak na pewno pozostało nam w pamięci, Van Mitten, rozżalony tym, że nie mógł zwiedzić ruin starożytnej Kolchidy, wyraził zamiar wynagrodzenia sobie tego obejrzeniem mitologicznej rzeki Fasis, która pod gorzej brzmiącą nazwą Rioni wpada do Morza Czarnego w Poti, małym porcie na jego wybrzeżu.

Rzeczywiście, szacowny Holender musiał stale obniżać swoje oczekiwania! Naprawdę zamierzał wyruszyć śladami Jazona i Argonautów, przemierzać słynne miejsca, do których wybrał się ten dzielny syn Ajzona, aby zdobyć Złote Runo! Ale nie! Zamiast tego trzeba było jak najszybciej opuścić Poti, udać się śladami wielmożnego Kérabana, dołączyć do niego na granicy turecko-rosyjskiej.

Stąd kolejny zawód Van Mittena. Była już piąta po południu. Zamierzano wyruszyć rankiem następnego dnia, trzynastego września. W Poti Van Mitten mógł więc zobaczyć jedynie ogród publiczny, gdzie znajdowały się ruiny starożytnej warowni¹, budynki wzniesione na palach, w których chroniła się ludność liczącą od sześciu do siedmiu tysięcy dusz, szerokie ulice z biegnącymi wzdłuż nich rowami, z których dobiegał nieustanny koncert żab, i port, dość często odwiedzany, nad którym górowała latarnia morska pierwszego rzędu.

Mając tak mało czasu na zwiedzanie, Van Mitten mógł się pocieszać tylko tą jedną myślą: dzięki tak szybkiej ucieczce z owego miasteczka, leżącego pośród mokradeł Rioni i Capatchy², uniknie złapania

¹ Warownia wzniesiona przez Turków po zdobyciu Poti w roku 1578, porzucona po zajęciu miasta przez Rosjan w 1828, obecnie nic z niej nie zostało.

² *Capatcha* (obecna nazwa Kaparcha) – mała rzeka (długości 7 km) wpadająca do nadmorskiego jeziora Palastomi tuż na południe od Poti, na terenie Kolchidzkiego Parku Narodowego.

jakiejś niszczycielskiej febry – czego należało się bardzo obawiać w tych niezdrowych częściach wybrzeża.

Kiedy Holender oddawał się tym rozmaitym rozważaniom, Ahmet starał się zastąpić karetę pocztową, która długo jeszcze by im posłużyła, gdyby nie niewiarygodny brak roztropności jej właściciela. Nie mógł jednak liczyć na pozyskanie innego pojazdu, nowego czy używanego, w tak małym mieście jak Poti. *Pieriekładną*¹, czyli rosyjską „arabę”, dałoby się jeszcze znaleźć, a sakiewka wielmożnego Kérabana była na miejscu, aby pokryć koszt zakupu, obojętnie jak wysoki. Lecz owe różne pojazdy były jedynie mniej lub bardziej prostymi wozami pozbawionymi wszelkich wygod, niemającymi nic wspólnego z berlinką² podróżną. Choćby zaprzężono do nich najsilniejsze konie, powozy te nie byłyby w stanie jechać z prędkością karety pocztowej. Należało się więc obawiać opóźnień, do których dojdzie jeszcze przed wyruszeniem w drogę!

Trzeba jednak przyznać, że Ahmet nie miał nawet kłopotów związanych z wyborem pojazdu. Brakowało i powozów, i wozów! Nie było wówczas nic dostępnego! A przecież zależało mu ogromnie na jak najszybszym dołączeniu do wuja, aby przez swój upór nie wplątał się on znowu w jakąś mogącą się źle skończyć awanturę. Dlatego też postanowił pokonać konno przestrzeń dwudziestu lig między Poti a granicą turecko-rosyjską. Był dobrym jeźdźcem, należy to wiedzieć, a Nizib często towarzyszył mu w przejażdżkach. Okazało się, że zapytany przezeń o sztukę jeździecką Van Mitten znał pewne jej podstawy, a powiedział też, że Brunon, pomimo mało prawdopodobnej zręczności, w tych warunkach, powodowany posłuszeństwem, także wyruszy.

Postanowiono zatem, że wyjazd nastąpi nazajutrz rano, aby wieczorem tego samego dnia dotrzeć do granicy.

Uczyniwszy to, Ahmet napisał długi list do bankiera Sélima, oczywiście rozpoczęty słowami: „Droga Amasio”. Opisał jej wszystkie wydarzenia podróży, nieszczęście, które nastąpiło w Poti, przycyzy-

¹ *Pieriekładnaja* – pręt zbrojeniowy, dawniej określenie „jechać na pieriekładnych” (jechać na przekładanych) oznaczało jazdę końmi pocztowymi, a nie nazwę pojazdu.

² *Berlinka* – dawny podróżny, resorowany pojazd konny z czterema miejscami do siedzenia i oszklonym nadwoziem.

nę jego rozstania się z wujem, to, jak zamierza go odnaleźć. Dodał, że ta przygoda nie spowoduje żadnego opóźnienia, że będzie potrafił poganiać zwierzęta i ludzi, aby utrzymywać średnie tempo jazdy przez pozostałą jeszcze część trasy. Od razu też dodał zalecenie, aby z ojcem i Nedjeb znalazła się w willi w Skutari w wyznaczonym dniu, a nawet trochę wcześniej, by nie zabrakło jej w chwili spotkania.

List ten, do którego Ahmet dołączył najczulsze słówka dla dziewczyny, parowiec pływający regularnie między Poti a Odessą miał zabrać następnego dnia. Przed upływem czterdziestu ośmiu godzin dotrze więc do celu, zostanie otwarty, przeczytany nawet między wierszami i może przyciśnięty do serca, którego wszystkie uderzenia Ahmet słyszał, jak święcie wierzył, na drugim końcu Morza Czarnego. Para narzeczonych znajdowała się wówczas najdalej od siebie, czyli na dwóch krańcach wielkiej osi elipsy, po obwodzie której Ahmet musiał podążać przez niezłomny upór jego wuja!

Kiedy pisał tak, aby uspokoić, aby pocieszyć Amasię, co wtedy robił Van Mitten?

Van Mitten, po zjedzeniu obiadu w hotelu, przechadzał się z ciekawością po ulicach Poti, pod drzewami Ogrodu Środkowego, wzdłuż nabrzeży portu i grobli, których budowę wówczas kończono¹. Był jednak sam. Bruno tym razem mu nie towarzyszył.

A dlaczego Bruno nie szedł krok za swoim panem, nie rzucał pełnych szacunku, ale trafnych uwag o niebezpieczeństwach obecnych i grożących w przyszłości?

Ponieważ Bruno wpadł na pewien pomysł. Choć w Poti nie było ani berlinki, ani karety pocztowej, to może znajdzie się tam waga. A dla chudnącego Holendra była to może jedyna sposobność, by się zważyć, dowiedzieć się, ile wynosi teraz jego ciężar, i porównać tę wielkość z wartością pierwotną.

Bruno opuścił więc hotel, zadbawszy, nic nie mówiąc swemu panu, o zabranie jego przewodnika, który powinien dać mu przeliczenie na funty batawskie² miar rosyjskich, których wielkości nie znał.

¹ Rosja prowadziła rozbudowę portu w Poti w latach 1863-1905.

² *Funt batawski* (właśc. holenderski, *Nederlands pond*) – dawna jednostka masy, po przyjęciu systemu metrycznego w roku 1820 uznana za dokładny odpowiednik jednego kilograma, w roku 1870 zastąpiona przez kilogram.

Na nabrzeżach portu, gdzie działała komora celna, znajdzie zawsze jedną z tych wielkich wag, na których szalach może się bez trudu zważyć człowiek.

Bruno nie powinien więc spotkać się pod tym względem z najmniejszym kłopotem. Istotnie, dostawszy kilka kopiejek, celnicy spełnili jego zachciankę. Na jednej szali wagi położyli odpowiednie odważniki, a Bruno, nie bez tajonego niepokoju, wszedł na drugą.

Ku jego wielkiemu niezadowoleniu szala z odważnikami nadal spoczywała na ziemi. Bruno, pomimo wysiłków dodania sobie wagi – myślał może, że wystarczy się nadać – nie zdołał jej podnieść.

– Do diabła! – rzucił. – Tego się właśnie obawiałem!

Na szali postawiono trochę lżejsze odważniki zamiast poprzednich... Waga ponownie ani drgnęła.

– Czy to możliwe? – zawołał Bruno, czując, jak cała krew odpływa mu z serca.

W tejże chwili jego wzrok padł na dobroduszną postać, przepojoną życzliwością dla niego.

– Mój pan! – zawołał.

Istotnie był to Van Mitten, który podczas przechadzki trafił na nabrzeże, właśnie w miejsce, gdzie celnicy zajmowali się jego służącym.

– Mój pan! – powtórzył Bruno. – Jest pan tutaj?

– We własnej osobie – odparł Van Mitten. – Widzę z radością, że właśnie się...

– Ważę... tak!

– A jaki jest wynik tego pomiaru...?

– Wynik tego pomiaru jest taki, że nie wiem, czy istnieją odważniki dostatecznie lekkie, aby wskazać, ile teraz ważę.

Bruno powiedział to z tak smutną miną, że dotarł w głąb serca Van Mittena.

– Co?! – rzucił tamten. – Czyżbyś schudł, odkąd wyruszyliśmy, biedny Brunonie?

– Może sam pan ocenić, mój panie.

Rzeczywiście, kładziono teraz na szalę trzeci zestaw odważników, lżejszy od dwóch wcześniejszych.



– Mój pan! – zawołał.

Tym razem Bruno uniósł się trochę, tak iż obie szale znalazły się w równowadze na tym samym poziomie.

– Wreszcie! – rzucił Bruno. – Ale jaki to ciężar?

– Tak! Jaki to ciężar? – powtórzył pytanie Van Mitten.

Ważenie dało cztery *pounds*¹ w miarach rosyjskich, ani mniej, ani więcej.

Van Mitten natychmiast wziął podany mu przez Brunona przewodnik i otworzył go na tabeli porównującej różne miary obu krajów.

– I co, mój panie? – zapytał Bruno, dręczony ciekawością zmieszaną z niepokojem. – Czemu odpowiada *pound* rosyjski?

– Około szesnastu i pół pondom² holenderskim – odparł Van Mitten po krótkich obliczeniach w pamięci.

– Co daje...?

– Co daje dokładnie siedemdziesiąt pięć i pół pondów, czyli sto pięćdziesiąt jeden funtów.

Bruno wydał okrzyk rozpaczy i zeskoczył z wagi, której druga szala uderzyła mocno w ziemię, po czym na wpół zemdlały padł na ławkę.

– Sto pięćdziesiąt jeden funtów – powtarzał, jakby stracił prawie jedną dziewiątą swojego życia.

Rzeczywiście, w chwili wyjazdu Bruno ważył osiemdziesiąt cztery pondy, czyli sto sześćdziesiąt osiem funtów, a teraz siedemdziesiąt pięć i pół ponda, czyli sto pięćdziesiąt jeden funtów. Schudł zatem o siedemnaście funtów! I to przez dwadzieścia sześć dni podróży dość łatwej, bez prawdziwych niedostatków jedzenia ani większego zmęczenia. A teraz, gdy zaczynają się gorsze czasy, do czego dojdzie? Co się stanie z owym brzuchem, który Bruno tak hodował i który przez prawie dwadzieścia lat się zaokrąglił dzięki przestrzeganiu bardzo ścisłej higieny? Jak bardzo spadnie poniżej godziwej średniej, którą dotąd utrzymywał – przede wszystkim teraz, po utracie kare-

¹ *Pounds* (ang.) – funty, zapewne J. Verne przez pomyłkę użył angielskiego słowa zamiast brzmiącego podobnie „pudy”, dawne rosyjskie jednostki masy, równe 40 funtom (16,38 kg).

² *Pondy* – funty, chodzi o funt po wprowadzeniu miar metrycznych, dokładny odpowiednik kilograma.

ty pocztowej, podczas pokonywania krain bez zapasów żywności, gdzie groziły trudy i niebezpieczeństwa, odkąd owa absurdalna podróż odbywać się będzie w zupełnie nowych warunkach!

Takie właśnie pytania zadawał sobie zmartwiony służący Van Mittena. Wówczas przez jego umysł przemykały szybkie obrazy straszliwych wydarzeń, w których uczestniczyć będzie Bruno trudny do poznania, sprowadzony do stanu wędrującego szkieletu!

Stąd wzięło się postanowienie, które podjął bez najmniejszego wahania. Wstał, pociągnął Van Mittena, który nie miał siły mu się opierać, i zatrzymał go na nabrzeżu w chwili, gdy ten miał wracać do hotelu.

– Mój panie – powiedział – wszystko ma swoje granice, nawet ludzka głupota! Nie jedźmy dalej!

Van Mitten przyjął to oświadczenie ze zwykłym mu spokojem, z którego nic nie mogło go wytrącić.

– Jak to, Brunonie, pragniesz, żebyśmy zostali tutaj, w tym zagubionym zakątku Kaukazu? – zapytał.

– Nie, mój panie, nie! Pragnę jedynie, abyśmy pozwolili wielmożnemu panu Kérabanowi wrócić do Konstantynopola, jak będzie mu pasowało, my zaś z Poti popłyniemy tam spokojnie którymś z parowców. Morze nie wywołuje u pana choroby morskiej, u mnie też nie, i nie będzie mi grozić dalsze schudnięcie, co niechybnie by mnie spotkało, gdybym dalej podróżował w tych warunkach.

– Posunięcie takie byłoby może mądre z twojego punktu widzenia, Brunonie – powiedział Van Mitten – ale nie z mojego. Porzucenie mojego przyjaciela Kérabana po przebyciu trzech czwartych drogi zasługuje na jakieś tego przemyślenie!

– Wielmożny Kéraban nie jest wcale pańskim przyjacielem – odparł Bruno. – Jest przyjacielem wielmożnego Kérabana, to wszystko. Ponadto nie jest i nie może być moim, i nie poświęcę reszty z mojej tuszy, która jeszcze została, dla zaspokojenia kapryśków jego miłości własnej! Trzy czwarte drogi zostały przebyte, powiedział pan, to prawda, ale czwarta ćwiartka wydaje mi się wiązać z zupełnie nowymi trudnościami jazdy przez kraj na wpół dziki! Nie odczuł pan jesz-

cze nic niemiłego dla siebie, mój panie, zgoda, ale powtarzam panu, jeśli będzie się pan upierał, proszę uważać...! Spotka pana nie-szczęście!

Upór Brunona w przepowiadaniu mu jakichś wielkich kłopotów, z których nie wyjdzie cały i zdrowy, nie przestawał dręczyć Van Mittena. Rady wiernego służącego trochę na niego wpływały. Istotnie, droga za granicą rosyjską, przez rzadko uczęszczane tereny paszalików¹ Trebizondy i północnej Anatolii, niemal całkowicie pozostające poza władzą rządu tureckiego, wymagała co najmniej dwukrotnego namysłu przed jej podjęciem. Dlatego też przy swoim niezbyt mocnym charakterze Van Mitten czuł się zachwiany w przekonaniu, a Bruno to zauważył i podwoił nalegania. Przedstawiał rozliczne argumenty wspierające jego pogląd, wskazywał swe ubranie z każdym dniem stające się luźniejsze w pasie. Nalegający, przekonujący, a nawet gadatliwy, kierowany głębokim przekonaniem, zdołał wreszcie skłonić swego pana, by podzielił przeświadczenie o konieczności oddzielenia jego losu od losu przyjaciela Kérabana.

Van Mitten się zastanawiał. Słuchał z uwagą, kiwając głową we właściwych momentach. Po zakończeniu tej poważnej rozmowy od decyzji powstrzymywała go jedynie obawa przed sporem na ten temat z jego niepoprawnym towarzyszem podróży.

– No cóż – zaczął znowu Bruno, mający odpowiedź na wszystko – okoliczności są sprzyjające. Skoro wielmożnego Kérabana nie ma tutaj, porzućmy uprzejmość dla niego i pozwólmy jego siostrzeńcowi Ahmetowi dołączyć do niego na granicy.

Van Mitten pokręcił przecząco głową.

– Pozostaje tylko jedna przeszkoda – powiedział.

– Jaka? – zapytał Bruno.

– Opuściłem Konstantynopol niemal bez pieniędzy, a teraz mam pustą sakiewkę!

– Czy nie może pan uzyskać wystarczającej sumy z banku w Konstantynopolu?

¹ *Paszaliki* – wilajety, na czele których stał urzędnik o tytule „pasza”, najznaczniesze; mniej ważnymi zarządzali bejowie i kapudanowie.



Jedynie Ahmet miał zwierzę dość rozbrykane.

– Nie, Bruno, to niemożliwe! Depozyt sumy, którą posiadam w Rotterdamie, nie mógł zostać już przekazany...

– Wobec tego, aby uzyskać pieniądze konieczne do naszego powrotu...? – zapytał Bruno.

– Konieczne jest, abym zwrócił się do mego przyjaciela Kérabana! – odparł Van Mitten.

Nie mogło to uspokoić Brunona. Jeśli jego pan spotka się z panem Kérabanem, jeśli powiadomi go o swoim zamiarze, to dojdzie do sporu, i Van Mitten nie będzie w nim najsilniejszy. Co jednak zrobić? Zwrócić się wprost do młodego Ahmeta? Nie! To nic by nie dało! Ahmet nie zgodzi się nigdy przekazać Van Mittenowi środków niezbędnych dla porzucenia jego wuja! Nie można więc było o tym marzyć.

Oto, co w końcu po długiej naradzie uzgodnili pan i sługa. Wyjadą z Poti w towarzystwie Ahmeta, dołączą do wielmożnego Kérabana na granicy turecko-rosyjskiej. Tam Van Mitten pod pretekstem słabego zdrowia, w przewidywaniu czekających go trudów, oświadczy, że nie jest w stanie uczestniczyć dalej w podobnej podróży. W tych warunkach jego przyjaciel Kéraban nie będzie mógł nalegać i odmówić mu pieniędzy niezbędnych do powrotu morzem do Konstantynopola.

„Nieważne! – pomyślał Bruno. – Rozmowa na ten temat między moim panem i wielmożnym Kérabanem i tak będzie trudna”.

Obaj wrócili do hotelu, gdzie czekał na nich Ahmet. Nic mu nie powiedzieli o swoich zamiarach, które na pewno zostałyby odrzucone. Zjedli kolację i poszli spać. Van Mitten śnił, że Kéraban sieka go na kawałeczki niby mięso na pasztet. Obudził się wczesnym rankiem i zastał przy bramie czwórkę koni gotowych do „połykania przestrzeni”.

Warto było popatrzeć na minę Brunona, kiedy przyszło mu dosiąść wierzchowca. Nowe trudności znoszone z powodu wielmożnego Kérabana. Nie było jednak innego sposobu odbywania podróży. Bruno musiał zatem posłuchać polecenia. Na szczęście jego koniem był stary kuc nieskłonny do płochliwości, nad którym będzie mógł łatwo panować. Nie należało się również niepokoić o dwa

inne konie, Van Mittena i Niziba. Jedynie Ahmet miał zwierzę dość rozbrykane, ale jako dobry jeździec powinien troszczyć się jedynie o ograniczanie jego prędkości, aby nie wyprzedzać towarzyszy jazdy.

Wszyscy opuścili Poti o piątej rano. O ósmej zjedli pierwsze śniadanie we wsi Nikołaja¹, po pokonaniu dwudziestu wiorst, a drugie w Kintrisi² piętnaście wiorst dalej – o jedenastej, natomiast o drugiej po południu Ahmet, po kolejnych dwudziestu wiorstach, zarządził postój w Batumi³, w tej części północnego Lazystanu, która należy do imperium moskiewskiego.

Port ten był kiedyś miastem tureckim, bardzo korzystnie położonym u ujścia rzeki Tchorock⁴, czyli Bathys starożytnych. Jego strata była niepomyślna dla Turcji, gdyż ta rozległa przystań mająca dobre kotwicowisko może przyjmować wielką liczbę statków, w tym nawet o dużym zanurzeniu. Miasto zaś to po prostu ważny bazar zbudowany z drewna, przecięty główną ulicą. Ręka Rosji sięga jednak zachłannie po tereny zakaukaskie i zagarnęła Batumi, tak jak później Lazystan po najdalsze jego granice.

Ahmet nie był więc tam jeszcze u siebie, jak byłoby to kilka lat wcześniej. Musiał minąć Günieh⁵ u ujścia Tchorocku i dwadzieścia

¹ *Nikołaja* – rosyjska nazwa miejscowości gruzińskiej; podane położenie odpowiada kilku miejscowościom, nadmorskiemu kurortowi Ureki lub wsi Tsvermaghala.

² *Kintrisi* – rzeka w północnej Adżarii, a nie miejscowość, wpada do Morza Czarnego pod miastem Kobuleti, w czasach tureckich noszącym nazwę Çürüksu, leżącym 21 km na północ od Batumi.

³ *Batumi* – miasto portowe w południowo-zachodniej Gruzji, stolica autonomicznej republiki Adżarii, zdobyte przez Rosjan na Turkach w roku 1878, szybki rozwój dzięki ogłoszeniu go wolnym portem (do roku 1886), budowie linii kolejowej Baku-Tbilisi-Batumi (1883) i osuszeniu okolicznych mokradł (dokonał tego Polak, gen. Żygulski), zostało popularnym lotniskiem.

⁴ *Tchorock* – rzeka o tureckiej nazwie Çoruh, gruz. Ch'vorokh, długość 438 km, źródła w górach Mescit w północno-wschodniej Turcji, jedynie końcowy odcinek przecina południowo-zachodnią Gruzję i uchodzi do Morza Czarnego 6 km na południe od Batumi, ma charakter górski, w starożytności nosiła nazwę Acamopsis, jako Bathys określił ją błędnie Pliniusz Starszy; Bathys to grecka nazwa jednego z dopływów rzeki Sakarya (Sangarios), „Bathys Limen” (Głęboki port) było nazwą zatoki, nad którą leży Batumi i samego miasta.

⁵ *Günieh* – turecka nazwa wsi Gonio w południowo-zachodniej Gruzji, w Adżarii, u ujścia rzeki Çoruh, na miejscu greckiego miasta Apsaros, z ważną warownią rzymską,

wiorst od Batumi, miasteczko Makrialos¹, aby przekroczyć granicę, znajdującą się jeszcze dziesięć wiorst dalej.

W miejscu tym, na skraju drogi, jakiś człowiek czekał pod mało opiekuńczym oknem oddziału Kozaków, stojąc dwiema nogami na granicy ziemi osmańskiej, w stanie wściekłości, który łatwiej jest zrozumieć niż opisać.

Był nim wielmożny Kéran.

Dochodziła szоста wieczorem, a od północy – czyli dokładnie od chwili, w której zwrócono mu wolność poza terytorium rosyjskim – wielmożny Kéran nie przestał się pieklić.

Bardzo nędzna chata stojąca na skraju drogi, byle jak wyposażona, ze słabym dachem i zamknięciem, a jeszcze gorzej zaopatrzona w żywność, służyła mu jako schronienie, czy raczej azyl.

Pół wiorsty przed granicą Ahmet i Van Mitten zauważyli jeden swego wuja, drugi przyjaciela, pognali konie i siedli z nich kilka kroków przed nim.

Wielmożny Kéran chodził w kółko, gestykulował, rozmawiał, czy raczej kłócił się z samym sobą, gdyż nie było tam nikogo, kto by mu się przeciwstawił, i zdawał się nie dostrzegać swoich towarzyszy.

– Wuju! – zawołał Ahmet, wyciągając ramiona, podczas gdy Nizib i Bruno pilnowali koni jego i Holendra – mój wuju!

– Przyjacielu! – dodał Van Mitten.

Kéran wyciągnął rękę do obu i wskazał Kozaków, którzy przechadzali się po poboczu drogi.

– Droga żelazna! – zawołał. – Ci łajdacy zmusili mnie, bym wsiadł do pociągu...! Mnie...! Mnie!

Było całkowicie oczywiste, że przymuszenie do tego środka lokomocji, niegodnego prawdziwego Turka, wzbudziło u wielmożnego Kérana niezmiernie gwałtowne oburzenie! Nie! Nie mógł

zdobytą przez Turków w roku 1547, w Rosji od 1878, podobno został w nim pochowany apostoł Maciej.

¹ *Makrialos* – w źródłach starożytnych to nie nazwa miejscowości, ale strumienia przepływającego w pobliżu Apsaros (Gonio); pomiędzy Gonio a granicą turecką znajdują się tylko dwie miejscowości: Kvariati (2 km od granicy) i Sarpı na samej granicy.



Był nim wielmożny Kéran.

się z tym pogodzić! Jego spotkanie z wielmożnym Saffarem, kłótnia z tym bezczelnym osobnikiem i to, co zaszło potem, zgruchotanie karety pocztowej, kłopot, jaki miał teraz z dalszym odbywaniem podróży – o wszystkim tym zapomniał wobec ogromu owej zniewagi: został zmuszony do jazdy pociągiem! On, wierzący w to, co dawne!

– Tak! To znieważające! – potwierdził Ahmet, uważając, że zwłaszcza teraz nie powinien się sprzeciwiać wujowi.

– Tak, znieważające! – dodał Van Mitten. – Ale przecież, przyjacielu Kéran, nie stało ci się nic poważnego...

– Ach! Uważaj na słowa, panie Van Mitten! – zawołał Kéran. – Nic poważnego, powiedział pan?

Gest Ahmeta wskazywał Holendrowi, że znalazł się na błędnej drodze. Jego stary przyjaciel zwrócił się doń „panie Van Mitten” i zadał dalej pytania w rodzaju:

– Proszę mi wyjaśnić, co miały znaczyć te oburzające słowa: nic poważnego?

– Przyjacielu Kéran, o ile wiem, żaden z wypadków wiążących się z kolejami, ani wykolejenie się, ani zderzenie, ani wpadnięcie na...

– Panie Van Mitten, lepsze już byłoby wykolejenie! – krzyknął Kéran. – Tak! Na Allacha! Lepsze byłoby już wykolejenie, utrata rąk, nóg czy głowy, słyszy pan, niż przeżycie takiego wstydu!

– Pomyśl tylko, przyjacielu Kéran...! – zaczął Van Mitten, nie wiedząc, jak osłabić skutki swych niebacznych słów.

– Nie chodzi o to, co ja mogę myśleć! – odparł Kéran, naskakując na Holendra – ale o to, co pan może...! Chodzi o sposób, w jaki zapatruje się pan na to, co spotkało człowieka, który od trzydziestu lat uważa pana za swojego przyjaciela.

Ahmet chciał zmienić temat rozmowy, której oczywistym skutkiem byłoby tylko pogorszenie sytuacji.

– Wuju – powiedział – mogę zapewnić, że wuj źle zrozumiał pana Van Mittena...

– Czyżby?!

– A raczej pan Van Mitten źle się wyraził! Odczuwa on jedynie, jak i ja, głębokie oburzenie na to, jak potraktowali wuja ci przekłeci Kozacy!



Po raz ostatni wielmożny Kéraban odwrócił się,
aby pogrozić pięścią Kozakom.

Na szczęście wszystko to mówiono po turecku i „przekłęci Ko-zacy” nie mogli ich rozumieć.

– Lecz przecież, mój wuju, to kogoś innego należy uznać za przy-czynę tego wszystkiego! To ktoś inny jest odpowiedzialny za to, co wuja spotkało! To ten bezczelny jegomość, który przeskodził wu-jowi na przejeździe kolejowym w Poti! To tamten Saffar...!

– Tak! Tamten Saffar! – zawołał Kéraban, który na szczęście dał się skierować siostrzeńcowi na nowe tory rozmowy.

– Po tysiakkroć tak, tamten Saffar! – dodał szybko Van Mitten. – To właśnie chciałem powiedzieć, przyjacielu Kéraban!

– Nikczemny Saffar! – rzucił Kéraban.

– Nikczemny Saffar! – powtórzył Van Mitten, dostosowując się do tonu swego rozmówcy.

Chciał nawet znaleźć określenie jeszcze mocniejsze, ale go nie znalazł.

– Jeżeli go jeszcze kiedyś spotkamy...! – powiedział Ahmet.

– Jednak nie możemy wrócić do Poti, aby kazać mu zapłacić za jego zuchwałość, temu prowokatorowi, wyrwać mu duszę z ciała, oddać w ręce kata! – zawołał Kéraban.

– Kazać wbić go na pal...! – uznał za słuszne zawołać Van Mit-ten, wykazujący srogość, aby odzyskać zagrożoną przyjaźń.

Ową propozycją, tak bardzo turecką, zasłużył na uściśnięcie je-go dłoni przez przyjaciela Kérabana.

– Mój wuju – powiedział wtedy Ahmet – teraz nic by nie dały próby odnalezienia owego Saffara!

– A to dlaczego, siostrzeńcze?

– Tego osobnika nie ma już w Poti – odparł Ahmet. – Gdy tam przybyliśmy, wsiadał na statek pasażerski krążący wzdłuż wybrze-ży Azji Mniejszej.

– Wybrzeży Azji Mniejszej! – zawołał Kéraban. – Czyż nasza trasa nie biegnie owym wybrzeżem?

– Istotnie, wuju!

– No cóż! – stwierdził Kéraban. – Jeśli napotkam po drodze te-go nikczemnego Saffara, to *Vallah billah tielah*¹! Biada mu!

¹ *Vallah billah tielah* (arab.) – powinno być *vallahi billahi tallahi* – „Klnę się na Boga”, powtórzone trzykrotnie, gdyż każde z tych słów ma to samo znaczenie.

Po wypowiedzeniu formułki tej „przysięgi na Boga” pan Kéran nie mógł już oznajmić nic straszniejszego, więc zamilkł.

Jak jednak podróżować, skoro podróżni nie mieli już karety pocztowej? Podążania dalej konno nie można było zaproponować na poważnie wielmożnemu Kéranowi. Nie pozwalała mu na to tusza. Jeśliby cierpiał z powodu konia, to koń cierpiałby jeszcze bardziej z jego powodu. Uzgodnili więc, że udadzą się do Chopy¹, najbliższego miasteczka. Wymagało to pokonania tylko kilku wiorst, i Kéran uczynił to na piechotę – Bruno również, gdyż był tak poobijany, że nie zdołał wsiąść na konia.

– A prosba o pieniądze, o której pan powiedział...? – zapytał służący swego pana, odciągając go na bok.

– W Choppie! – odparł Van Mitten.

Nie bez niepokoju przyjmował zbliżanie się chwili, w której będzie musiał poruszyć ową delikatną sprawę.

Po kilku chwilach podróżni ruszyli drogą biegnącą stokiem wzdłuż wybrzeży Lazystanu.

Po raz ostatni wielmożny Kéran odwrócił się, aby pogrozić pięścią Kozakom, którzy go tak niegrzecznie wsadzili – jego! – do wagonu drogi żelaznej i po zakręcie brzegu stracił z oczu granicę imperium moskiewskiego.



¹ *Choppa* – obecna nazwa Hopa; małe miasto w północno-wschodniej Turcji, 18 km od granicy z Gruzją, port nad Morzem Czarnym, istniało już w czasach Kolchidy, zdobyte przez Turków w roku 1064, przez Rosjan w 1878, z powrotem w obrębie Turcji od 1918.

Rozdział II

W którym Van Mitten decyduje się ulec obsesyjnym naleganiom Brunona i co z tego wynikło

Dziwny kraj!” – napisał Van Mitten w swoim dzienniku podróżnym, notując niektóre wrażenia nabyte podczas drogi. Kobiety pracowały na roli, nosiły ciężary, podczas gdy mężczyźni przędli konopie i robili na drutach.

Zacny Holender się nie mylił. Dzieje się tak jeszcze w owej odległej prowincji Lazystan, w której zaczęła się druga część trasy podróży.

Krajiną mało jeszcze znaną są te tereny wchodzące w skład pogranicza kaukaskiego, owa część Armenii tureckiej leżąca między dolinami Charchoutu¹, Tschorocku a wybrzeżem Morza Czarnego. Niewielu podróżników, po Francuzie Th. Deyrolle’u², zapuściło się do tych okręgów paszalicu Trebizondy, wśród gór o średniej wysokości, których splecione pasma ciągną się aż do jeziora Wan³ i otaczają ciasno stolicę Armenii, Erzurum⁴, główne miasto wilajetu liczącego ponad milion dwieście tysięcy mieszkańców.

¹ *Charchout* – obecna nazwa Harşit; mała (160 km długości) rzeka w północno-wschodniej Turcji, nazwa grecka Philabonites, wpada do Morza Czarnego w miasteczku Tirebolu, o charakterze górskim.

² Théophile *Deyrolle* (1844-1923) – u J. Verne’a: Deyrolles; francuski malarz i grafik, po roku 1860 odbył kilkuletnią podróż po Turcji, z której relacja zamieszczona w czasopiśmie „Le Tour du Monde - Nouveau Journal Des Voyages”, rocznik 1869, *Voyage dans le Lazistan et L’Armenie* stanowiła główne źródło J. Verne’a przy opisie tej części Turcji.

³ *Wan* – jezioro w północno-wschodniej Turcji, bezodpływowe i słone, największe w Turcji, o powierzchni 3755 km², długości 120 km i głębokości 171 m.

⁴ *Erzurum* – miasto w północno-wschodniej Turcji, najważniejsze na tym obszarze, leży u podnóża Gór Pontyjskich na wysokości 1950 m n.p.m.; w starożytności Karin w królestwie Armenii, po zdobyciu przez Rzymian Theodosiopolis, w roku 1071 zdobyte przez Turków, ponownie w 1514, przez Rosjan na krótko w 1829 i 1878.

A przecież w owym kraju zachodziły ważne wydarzenia historyczne. Opuściwszy płaskowyż, na którym mają źródła dwie odnogi Eufratu¹, Ksenofont² i jego Dziesięć Tysięcy, cofając się przed wojskami Artakserksesa Mnemona³, przybyli na brzeg Fazis⁴. Fazis ta nie jest rzeką Rioni, w której ujścia leży Poti, ale Kurą⁵, spływającą z obszaru kaukaskiego, i toczącą wody niedaleko od Lazystanu, przez który wielmożny Kéraban i jego towarzysze mieli teraz podróżować.

Ach, gdyby Van Mitten miał czas, ileż na pewno dokonałby cennych spostrzeżeń, straconych dla uczonych z Holandii! Czemu nie miałyby znaleźć miejsca, w którym Ksenofont, generał, historyk, filozof, stoczył bitwę z Taochami⁶ i Chalibami⁷, opuściwszy kraj

¹ *Eufrat* – wielka rzeka w zachodniej części Azji, długości ok. 2800 km, powstaje w północno-wschodniej Turcji z połączenia dwóch rzek, Kara Su i Murat, będących wspomnianymi tu odnogami, płynie mniej więcej na południe jako jedna z dwóch rzek tworzących Mezopotamię, przez Syrię i Irak, łączy się z Tygrysem i jako Szatt al-Arab wpada do Zatoki Perskiej.

² *Ksenofont* (ok. 430-ok. 355 p.n.e.) – grecki wódz, pisarz, i historyk, pochodził z Aten, uczeń Sokratesa, od roku 401 p.n.e. służył jako najemnik w oddziałach greckich podległych Cyrusowi Młodszemu, perskiemu satrapie Lidii, który zbuntował się przeciwko królowi Artakserkesowi II, swemu bratu, zwyciężył go w bitwie pod Kunaksą w pobliżu Babilonu, ale sam zginął; po bitwie Artakses podczas uczty zdradziecko wymordował naczelników dowódców sił greckich, wówczas 10 tysięcy najemników postanowiło wrócić do Grecji, jednym z ich dowódców został Ksenofont; podczas trwającego dwa lata odwrotu przez wrogi kraj Grecy stoczyli wiele bitew, nim dotarli do wybrzeża Morza Czarnego w Trapezuncie; wyprawę tę Ksenofont opisał w swej książce *Anabaza* (inny tytuł *Wyprawa Cyrusa*).

³ *Artakserkses II Mnemon* (453 lub 445-358 p.n.e.) – król Persji od roku 404, toczył wojny ze Spartą, po zwycięstwie odzyskał władzę nad greckimi miastami w Azji Mniejszej.

⁴ *Fazis* – grecka nazwa rzeki Araks, a nie Kury, jak błędnie podał J. Verne; wzdłuż jej górnego biegu przebiegała część trasy marszu dziesięciu tysięcy.

⁵ *Kura* – duża rzeka w zachodniej części Azji; długość ok. 1515 km, źródła w północno-wschodniej Turcji, płynie mniej więcej na wschód przez Turcję, Gruzję i Azerbejdżan, pomiędzy pasmami Wielkiego i Małego Kaukazu, uchodzi do Morza Kaspijskiego.

⁶ *Taochowie* (Tahoskariowie) – plemię mieszkające w starożytności na północ od Fazjany, pomiędzy tą krainą a Chalibami, oddziały Dziesięciu Tysięcy stoczyły z nimi potyczkę.

⁷ *Chalibowie* – plemię mieszkające w starożytności w północno-wschodniej części Anatolii, na wybrzeżach Morza Czarnego, słynęło z tego, że jako pierwsze odlewało i przekuwało żelazo.

Karduchów¹ oraz górę Chenium², z której Grecy przywitani okrzykami³ fale tak wyczekiwanego Pontos Euxinos?

Van Mitten nie miał jednak ani czasu na oglądanie, ani swobody prowadzenia badań, czy raczej nie dano mu ich. Bruno powrócił wówczas do atakowania, nagabywania swojego pana, aby ten wreszcie pożyczył od wielmożnego Kérabana to, czego potrzebowali, aby się z nim rozstać.

– W Choppie! – odpowiadał nieodmiennie Van Mitten.

Podążali więc do Choppy. Czy znajdą tam jednak środek lokomocji, jakikolwiek pojazd mogący zastąpić wygodną karetę, rozbitą na *railway* w Poti?

Jego brak byłby bardzo poważną przeszkodą. Mieli do pokonania jeszcze niemal dwieście pięćdziesiąt lig, a jedynie siedemnaście dni dzieliło ich od daty trzydziestego września. Wielmożny Kéraban musi wrócić przed tym dniem! Wtedy to właśnie Ahmet pragnął zastać w willi w Skutari młodą Amasię, czekającą na uroczystość ślubną! Zrozumiałe więc, że wuj i siostrzeniec byli równie niecierpliwi. Stąd bardzo wielki niepokój o sposób odbycia drugiej połowy podróży.

Na znalezienie karety pocztowej czy jakiegoś powozu w miasteczkach zagubionych w Azji Mniejszej nie było co liczyć. Konieczne więc będzie pogodzenie się z jednym z miejscowych pojazdów, a owe środki lokomocji musiały być bardzo prymitywne.

Dlatego też zatroskany i zamyślony wielmożny pan Kéraban podążył pieszo drogą wzdłuż wybrzeża, Bruno prowadził za uzdę konia własnego i swojego pana, który wolał iść obok przyjaciela, a dosiadający konia Nizib jechał na czele tej małej karawany. Ahmet natomiast ruszył przodem, aby w Choppie przygotować zakwaterowanie i nabyć jakiś pojazd, którym mogliby wyruszyć o wschodzie słońca.

¹ *Karduchowie* – plemię mieszkające w starożytności w północno-wschodniej części Anatolii, na południe od jeziora Wan, uważane za przodków Kurdów; greccy żołnierze ich kraj pokonali w ciągu trzech dni nieustannych walk.

² *Chenium* – według *Anabazy* (księga 4, rozdz. 7) żołnierze greccy ujrzeni Morze Czarne z góry Theches, obecnie Madur, w pobliżu Trebizondy, nazwę Chenium podał Diodor Sycylijski (XIV, 29).

³ Chodzi o słynne *Thalassa! Thalassa!* (gr. Morze! Morze!).

Drogę pokonywano powoli i w milczeniu. W wielmożnym Kéranbanie tliła się wewnętrzna wściekłość, którą wyrażał tymi często powtarzanymi słowami:

– Kozacy, *railway*, wagon, Saffar!

Van Mitten czyhał na sposobność przystąpienia do przedstawiania planów rozstania, ale nie ośmielał się tego czynić, uznając, że chwila nie jest dogodna w stanie, w jakim znajdował się jego przyjaciel, który rozżołościłby się już po jednym słowie.

Do Choppy przybyto o dziewiątej wieczorem. Ten pokonany pieszo etap wymagał wypoczynku przez całą noc. Gospoda nie była najlepsza, ale wspomagani zmęczeniem wszyscy przespali następne dziesięć godzin, podczas gdy Ahmet jeszcze tego wieczora wyszedł, aby znaleźć jakiś środek transportu.

Nazajutrz, czternastego września o siódmej, całkowicie zaprzężona arba czekała przed bramą gospody.

Ach! Jakże żałowano starej karety pocztowej, zastąpionej przez rodzaj dużego wozu na dwóch kołach, w którym ledwo mieściły się trzy osoby! Dwa konie w hołoblach¹ ledwo wystarczały, aby ciągnąć ten ciężki pojazd. Całe szczęście, że Ahmetowi udało się kazać przykryć arbę nieprzemakalną plandeką rozciągniętą na drewnianych obręczach, aby mogli się chronić przed wiatrem i deszczem. Musieli się tym zadowolić w oczekiwaniu na coś lepszego, ale nie istniało prawdopodobieństwo, aby znaleźli w Trebizondzie pojazd wygodniejszy i szybszy.

Łatwo więc pojąć, że na widok tej arby Van Mitten, choć był filozofem, i Bruno, skrajnie zmęczony, nie zdołali ukryć grymasu, który wyparował natychmiast od jednego zwykłego spojrzenia wielmożnego Kéranbana.

– To wszystko, co zdołałem znaleźć, mój wuju! – oznajmił Ahmet, wskazując arbę.

– I wszystko, czego nam trzeba! – odparł Kéranban, który za nic w świecie nie chciał okazać choćby cienia żalu na to zastępstwo swej doskonałej karety pocztowej.

¹ *Holoble* – w zaprzęgu jednokonnym dwa dyszle połączone rzemieniami z chomątem, niekiedy również z drewnianym pałakiem nad chomątem – duha.

– Tak... – potwierdził Ahmet – po dobrym wyścieleniu jej słońcą w tej arbie...

– Będziemy jak księżęta, siostrzeńcze!

– Księżęta z teatru! – mruknął Bruno.

– Co? – zapytał Kéraban.

– Zresztą – powiedział Ahmet – jesteśmy tylko trochę ponad sto sześćdziesiąt agaczy¹ od Trebizondy, a tam, jak liczę, zdołamy znaleźć lepszy pojazd.

– Powtarzam, że ten wystarczy! – rzucił Kéraban, przypatrując się spod zmarszczonych brwi, czy na obliczach swych towarzyszy zauważy choć pozór sprzeciwu.

Wszyscy jednak, przytłoczeni tym mocarnym spojrzeniem, przybrali obojętne miny.

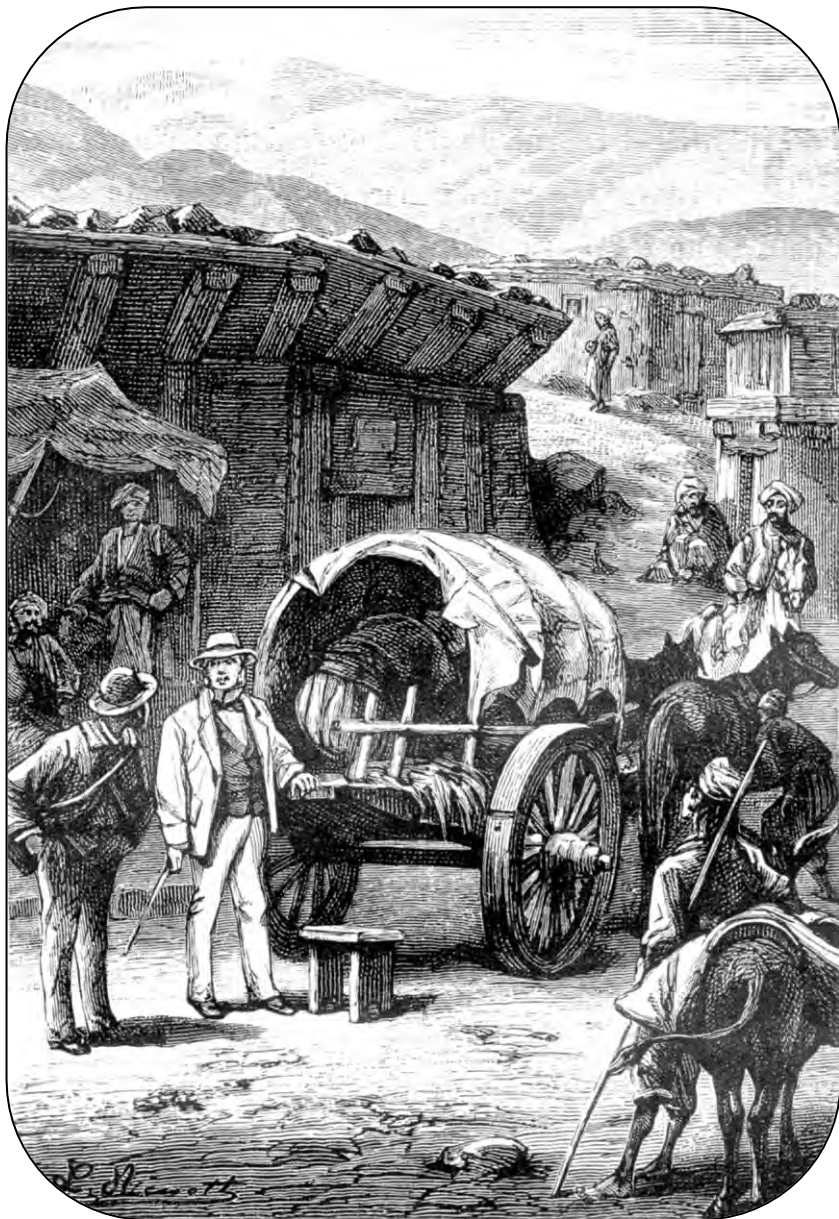
Uzgodniono następujące rozwiązanie: wielmożny Kéraban, Van Mitten i Bruno zajmą miejsce w arbie, pocztylion dosiądzie jednego z jej koni, z obowiązkiem zmieniania ich po każdym odcinku drogi; Ahmet i Nizib zaś, bardzo nawykli do trudów jazdy wierzchem, pojadą konno. Liczono, że w ten sposób opóźnienie z przybyciem do Trebizondy nie okaże się nadmierne. Tam, w owym ważnym mieście, podróżni poszukają najwygodniejszego, jak to tylko możliwe, sposobu dokończenia podróży.

Wielmożny Kéraban dał więc znak do odjazdu po wyposażeniu arby w żywność i sprzęty, nie licząc dwóch nargili, które na szczęście przetrwały zderzenie i zostały oddane ich właścicielom. Osady w tej części wybrzeża leżą zresztą dość blisko siebie. Rzadko kiedy dzieli je więcej niż cztery lub pięć lig. Można więc bez trudu w nich odpoczywać albo uzupełniać zapasy jedzenia, pod warunkiem wszakże, że niecierpliwy Ahmet przystanie na kilka godzin przerwy, a przede wszystkim, że duchany wsi będą dostatecznie dobrze zaopatrzone.

– W drogę! – powtórzył Ahmet po swoim wuju, który zajął już miejsce w arbie.

Wtedy właśnie Bruno podszedł do Van Mittena i poważnym, niemal nakazującym tonem zapytał:

¹ *Sto sześćdziesiąt agaczy* – około sześćdziesięciu lig [przypis J. Verne'a].



– Czyli wsiadamy tam? – spytał Bruno,
gestem najwyższej wzdgardy wskazując arbę.

– Mój panie, a prośba, którą miał pan złożyć wielmożnemu Kéranowi?

– Nie znalazłem jeszcze okazji – odparł wymijająco Van Mitten. – Zresztą nie wydaje mi się on najlepiej usposobiony...

– Czyli wsiadamy tam? – spytał Bruno, gestem najwyższej wzgardy wskazując arbę.

– Tak... na razie!

– Kiedy jednak zamierza pan poprosić o pieniądze, od których zależy nasza wolność?

– W najbliższej osadzie – odparł Van Mitten.

– W najbliższej osadzie...?

– Tak! W Archawie¹!

Bruno pokręcił głową na znak niezadowolenia i usiadł za swym panem na dnie arby. Ciężki wóz ruszył drogą szybkim kłusem.

Pogoda pozostawiała wiele do życzenia. Chmury wyglądające na burzowe gromadziły się na zachodzie. Poza horyzontem wyczuwało się zapowiedzi grożącej nawałnicy. Ta część wybrzeża, dręczona z całą mocą przez prądy atmosferyczne przybywające z daleka, mogła okazać się trudna do przebycia, nikt jednak nie panuje nad pogodą, a fatalistyczni wyznawcy Mahometa bardziej niż wszyscy inni ludzie potrafili przyjmować wszystko, co się zdarzało. Przede wszystkim należało się obawiać, że Morze Czarne przestanie niedługo uzasadniać swą grecką nazwę *Pontus Euxinus*, czyli „Morze Gościnne”, a raczej zasłuży na tureckie miano *Kara Deguitz*², które nie jest równie dobrą zapowiedzią.

Na szczęście wybrany szlak nie przecinał wyniesionej i górzyściej część Lazystanu. Tam całkiem brakowało dróg, i trzeba by się było posuwać lasami, których jeszcze nie naruszyła siekiera drwala. Przejazd arbą okazałby się prawie że niemożliwy. Wybrzeże jest jednak bardziej dostępne, a między miasteczkami nigdy nie brako-

¹ *Archawa* – obecna nazwa Arhavi, miasto w północno-wschodniej Turcji, port nad Morzem Czarnym, 11 km na południowy zachód od Hopy, zamieszkane głównie przez Lazów.

² *Kara Deguitz* (właśc. Karadeniz) – turecka nazwa Morza Czarnego, gdzie *kara* znaczy „czarny”, a *deniz* „morze”.

wało dróg. Biegną one wśród drzew owocowych, w cieniu orzechów, kasztanowców, pomiędzy kępami wawrzynów i róż alpejskich¹, połączonych splątanymi pędami dzikiej winorośli.

Choć jednak wybrzeże Lazystanu było łatwo dostępne dla podróżnych, to mniej zdrowe niż okolice położone wyżej. Ciągnęły się tam chorobotwórcze mokradła, a od sierpnia aż do maja panował tyfus w stanie endemicznym. Na szczęście dla wielmożnego Kérabana i innych był wrzesień, i ich zdrowie nie było już zagrożone. Trudy wystąpią, tak! Choroby nie! Jeśli więc nie zawsze można się wyleczyć, to zawsze da się odpoczywać, a ponieważ rozumował tak najbardziej uparty z Turków, jego towarzysze nie mieli mu nic do powiedzenia.

Arba zatrzymała się w miasteczku Archawa o dziewiątej rano. Postanowiono wyruszyć po godzinie i Van Mitten nie miał sposobności poruszenia tematu swego sławetnego zamiaru zwrócenia się do przyjaciela Kérabana o pożyczkę.

Stąd też pytanie Brunona:

- No i jak, mój panie, czy już zrobione...?
- Nie, Brunonie, jeszcze nie.
- Przecież już pora na...
- W najbliższym miasteczku!
- W najbliższym miasteczku...?
- Tak, w Witse².

I Bruno, który w kwestiach pieniężnych zależał od swego pana, tak jak tamten od wielmożnego Kérabana, zajął miejsce w arbie, nie ukrywając tym razem złego humoru.

- Co jest z tym chłopcem? – zapytał Kéraban.
- Nic – odpowiedział szybko Van Mitten, żeby zmienić temat. – Może jest trochę zmęczony!

¹ *Róże alpejskie* (*Rosa pendulina*) – krzewy z rodziny różowatych, pospolite w Europie, głównie w górach; wysokość do 2 m, kwiaty czerwone lub różowe.

² *Witse* (Vitze) – dawna lazyska nazwa miasteczka Findikli w północno-wschodniej Turcji, kąpieliska nad Morzem Czarnym, 16 km na południowy zachód od Arhavi, słynącego z upraw herbaty i orzechów włoskich.

– On miałyby być zmęczony! – odparł Kéraban. – Wygląda doskonale! Myślę nawet, że przytył!

– Ja?! – zawołał Bruno dotknięty do żywego.

– Tak! Ma w istocie załázky na zostanie dobrym Turkiem o majestatycznej tuszy!

Van Mitten chwycił ramię Brunona, który miał się już wściec na ten komplement, tak nieopatrznie wypowiedziany, i Bruno umilkł.

Dotychczas arba utrzymywała dobrą prędkość. Gdyby nie wyboje powodujące gwałtowne wstrząsy wewnątrz, prowadzące do potłuczeń bardziej nieprzyjemnych niż bolesnych, nie byłoby zupełnie o czym mówić.

Droga nie była pusta. Przemierzało ją trochę Lazów zjeżdżających ze stoków Alp Pontyjskich¹, w celach związanych z rzemiosłem lub handlem. Gdyby Van Mitten mniej się przejmował swoją „interpelacją”, mógłby odnotować w swoich zapiskach istniejące różnice w strojach mieszkańców Kaukazu i Lazów. Rodzaj czapki frygijskiej, której tasiemki owijają głowę na kształt czupryny, zastąpił gruzińską myckę. Na piersiach tych górali, wysokich, dobrze zbudowanych, o białej cerze, eleganckich i zwinnych, przecinają się dwie ładownice rozmieszczone jak piszczalki fletni Pana². Krótka strzelba, sztylet o szerokiej klindze, zatknięty za pas obramowany skórą, tworzyły ich zwykłe uzbrojenie.

Także kilku poganiaczy osłów podążało tą drogą, wioząc do wiosek nadmorskich owoce wszelkich gatunków, zbierane w strefie pośredniej wysokości.

W sumie, gdyby pogoda była lepsza, gdyby niebo mniej groziło burzą, podróżni nie mieliby powodów do skarg na drogę, nawet odbywaną w takich warunkach.

¹ *Alpy Pontyjskie* (Góry Pontyjskie) – pasmo górskie w północno-wschodniej Turcji; biegnie równoleżnikowo wzdłuż Morza Czarnego, od granicy z Gruzją do morza Marmara, porośnięte lasami, najwyższa góra Kaçkar (3937 m n.p.m.).

² *Fletnia Pana* (syringą) – dęty drewniany instrument muzyczny, połączony szereg piszczalek o różnej długości, wydających różne tony, popularny w starożytnej Grecji, obecnie używany w muzyce ludowej.



Droga nie była pusta. Przemierzało ją trochę Lazów zjeżdżających ze stoków Alp Pontyjskich.

O jedenastej rano podróżni przybyli do Witse nad starożytnym Pyxitesem¹, którego grecką nazwę „bukszpan” dostatecznie tłumaczy obfitość tej rośliny w okolicach. Zjedli tam pospiesznie śniadanie – zapewne zbyt pospiesznie, jak na gust wielmożnego Kérabana, który tym razem pozwolił sobie na chrząknięcie zdradzające zły humor.

Van Mitten nie znalazł dotąd sprzyjającej okazji, aby rzucić choć słówko o swej drobnej sprawie. Kiedy w chwili odjazdu Bruno odwiódł go na bok i zapytał:

– No jak, mój panie?

Odpowiedział:

– No cóż, Brunonie, w najbliższym miasteczku.

– Jak to?

– Tak! W Artachen²!

I Bruno, wolny od takiej słabości, usiadł na dnie arby, gderając, podczas gdy jego pan przyglądał się z ożywieniem romantycznemu krajobrazowi, w którym pełna schludność holenderska łączyła się z włoską malowniczością.

W Artachen było tak samo jak w Witse i Archawie. Podróżni zrobili postój o trzeciej po południu i wyruszyli o czwartej, ale wobec poważnych nalegań Brunona, który nie pozwalał na dalsze odwlekanie, jego pan zobowiązał się złożyć prośbę przed przybyciem do miasteczka Atina³, w którym, jak uzgodniono, miała zostać spędzona noc.

Pięć lig dzieliło ich od osiągnięcia tego miasteczka – co dawało piętnaście lig pokonanych tego dnia. Naprawdę nie było to mało dla prostego wozu; ale deszcz, na który się zanosilo, zwolni go na pewno, gdyż uczyni drogę mniej przejezdną.

¹ *Pyxites* – grecka nazwa rzeki Tahiroğlu, o źródłach w Górach Wschodniopontyjskich, uchodzi do Morza Czarnego.

² *Artachen* – ormiańska (Artashen) nazwa miasteczka Ardeşen w północno-wschodniej Turcji, nad Morzem Czarnym, 16 km na południowy zachód od Findikli, dawna osada ormiańska, zdobyta w roku 1461 przez Turków, wokół uprawy herbaty.

³ *Atina* – dawna lazyjska nazwa miasteczka Pazar w północno-wschodniej Turcji, nad Morzem Czarnym, 8 km na południowy zachód od Ardeşen, na miejscu greckiej kolonii Athena.



Dwa lub trzy razy wielmożny Kéranan
wystawiał głowę poza płachtę i przyglądał się niebu.

Ahmet nie bez niepokoju wypatrywał okresu złej pogody, zapowiadającej się z takim uporem. W oddali gromadziły się burzowe chmury. Duszne powietrze utrudniało oddychanie. Niewątpliwie wieczorem lub w nocy na morzu rozpęta się sztorm. Po pierwszych uderzeniach piorunów atmosferę, mocno zakłóconą wyładowaniami elektrycznymi, wstrząsną ciosy nawałnicy, a kiedy zerwie się wichura, chmury na pewno zaraz rozplyną się deszczem.

Arba była jednak w stanie pomieścić tylko trzech podróżnych. Ani Ahmet, ani Nizib nie będą mogli znaleźć schronienia pod jej osłoną, która zresztą nie wiadomo, czy oprze się szarpnięciom wichury. Jeźdźcy więc, podobnie jak i pozostali, powinni jak najszybciej dotrzeć do najbliższej osady.

Dwa lub trzy razy wielmożny Kéran wystawiał głowę poza płachtę i przyglądał się niebu, które coraz bardziej zaciągało się chmurami.

– Zła pogoda? – pytał.

– Tak, mój wuju – odpowiadał Ahmet. – Może dotrzemy do stacji pocztowej przed rozpętanem się burzy!

– Gdy zacznie padać deszcz – powiedział Kéran – dołączysz do nas w wozie.

– A kto ustąpi mi miejsca?

– Bruno! Ten dzielny chłopiec weźmie twojego konia...

– Na pewno – dodał żywo Van Mitten, który okazałby niewdzięczność, odmawiając... w imieniu swego wiernego sługi.

Można jednak mieć pewność, że nie popatrzył na niego, wypowiadając owe słowa. Nie miał odwagi. Bruno musiał bardzo mocno się powstrzymywać, żeby nie wybuchnąć. Jego pan dobrze to czuł.

– Lepiej przyspieszmy – odparł Ahmet. – Jeśli rozpęta się burza, od razu zerwie dach arby, i nie da się wtedy w niej wysiedzieć.

– Pogoń zaprzęg – nakazał Kéran pocztylionowi – i nie szcędź mu uderzeń bata!

Rzeczywiście, pocztylion, spieszący się do Atiny równie mocno jak podróżni, nie oszczędzał wcale koni. Biedne zwierzęta, osłabione dusznością powietrza, nie mogły jednak utrzymać kłusu na drodze nie wyrównanej jeszcze makadamem¹.

¹ *Makadam* – stosowana dawniej (od około 1820 roku) nawierzchnia dróg, złożona z dwóch ubitych warstw tłucznia o różnym uziarnieniu, kładzionych na piasku, nazwa od nazwiska jej wynalazcy, Szkota Johna Loudona MacAdama.

Jakże pan Kéraban i pozostali zazdrościli *tchaparowi*¹, którego powóz minął arbę około siódmej wieczorem! Był to goniec angielski, który co dwa tygodnie wioził do Teheranu depesze z Europy. Potrzebował tylko dwunastu dni na jazdę z Trebizondy do stolicy Persji, z dwoma lub trzema końmi niosącymi jego bagaże i kilkoma *zaptie*², którzy mu towarzyszyli. Na stacjach pocztowych przysługiwało mu pierwszeństwo przed wszystkimi innymi podróżnymi, i Ahmet obawiał się, że po przybyciu do Atyny zastanie tylko wyczerpane konie.

Na szczęście myśl ta nie przyszła do głowy wielmożnemu Kérabanowi. Dałoby mu to całkowicie zrozumiałą okazję do wybuchu z nowymi skargami, i na pewno by ją wykorzystał!

Może zresztą szukał takiej okazji. Otóż dostarczył mu ją wreszcie Van Mitten.

Holender, nie mogąc dłużej odwlekać spełnienia obietnicy złożonej Brunonowi, odważył się wreszcie uczynić to, ale przy zachowaniu wszelkiej możliwej zręczności. Grożącą mu złą pogodę uznał za doskonały wstęp do poruszenia sprawy.

– Przyjacielu Kéraban – powiedział najpierw tonem człowieka, który nie zamierza udzielić rady, lecz raczej jej potrzebuje – co sądzisz o tym stanie powietrza?

– Co o nim sędzę...?

– Tak...! Jak wiesz, zbliżamy się do równonocy³ jesiennej i trzeba się obawiać, że druga część naszej podróży nie będzie upływać równie pomyślnie jak pierwsza!

– No to będzie upływała mniej pomyślnie, nic więcej! – odparł oschle Kéraban. – Nie jest w mojej mocy zmieniać wedle woli warunki atmosferyczne! Nie władam żywiołami, o ile wiem, Van Mitten!

¹ *Tchapar* – z perskiego *chapar*, posłaniec, kurier.

² *Zaptie* – z tureckiego *zaptiye*, żandarm, w XIX wieku zmilitaryzowana jednostka policji tureckiej.

³ *Równonoc* (ekwinocjum) – moment, kiedy Słońce zajmuje na ekliptyce miejsce w jednym z dwóch punktów, w których przecina się ona z równikiem niebieskim, tj. 0° Barana (równonoc wiosenna, ok. 21 marca) lub 0° Wagi (równonoc jesienna, ok. 23 września).

– Nie... to oczywiste – stwierdził Holender, którego ten początek wcale nie zachęcił. – Nie o tym chciałem z tobą rozmawiać, drogi przyjacielu!

– No to o czym?

– O tym, że mimo wszystko może to tylko pozór burzy albo co najwyżej szybko ona minie...

– Wszystkie burze przemijają, Van Mitten! Trwają krócej lub dłużej... jak spory, ale przemijają... i nastaje po nich piękna pogoda... no oczywiście!

– Gdyby tylko – zauważył Van Mitten – powietrze nie było tak ogromnie zaburzone...! Gdyby to nie była pora równonocy...

– Skoro jest pora równonocy – odparł Kéraban – trzeba się z nią pogodzić! Nie mogę nic poradzić na to, że mamy równonoc...! Czyżbyś zamierzał mi coś zarzucić, Van Mitten?

– Nie...! Zapewniam cię... Zarzucać ci... ja, drogi Kéraban? – odparł Holender.

Sprawa zapowiadała się źle, to było całkowicie jasne. Może gdyby nie miał za sobą Brunona, którego potajemne nalegania słyszał, Van Mitten porzuciłby tę niebezpieczną rozmowę, aby wrócić do niej później. Nie miał jednak jak się wycofać – tym bardziej że Kéraban, zagadnięty tym razem bezpośrednio, spytał, zmarszczywszy brwi:

– O co ci więc chodzi, Van Mitten? Można by rzec, że do czegoś zmierzasz?

– Ja?

– Tak, ty! No dalej! Wy tłumacz się szczerze! Nie lubię ludzi, którzy robią nadąsaną minę, nie mówiąc dlaczego!

– Ja, mam według ciebie nadąsaną minę?

– Czy masz mi coś do zarzucenia? Skoro zaprosiłem cię na kocznię w Skutari, czy nie zawiozę cię do Skutari? Czy to moja wina, że karetka rozbiła się na tej przekłętej drodze żelaznej?

Och, tak! To była jego i tylko jego wina! Lecz Holender pilnował się bardzo, żeby mu tego nie zarzucić!

– Czy to moja wina, że grozi nam zła pogoda, gdy jedynym naszym pojazdem jest arba? No dalej! Mów!

Zmieszany Van Mitten nie wiedział już, co odpowiedzieć. Po-
przeszał więc na zapytaniu swego mało cierpliwego towarzysza, czy
zamierza zatrzymać się w Atinie, a może nawet w Trebizondzie,
jeśli zła pogoda nadmiernie utrudni podróż.

– Utrudni, nie znaczy uniemożliwi, prawda? – odparł Kéran. –
Skoro zamierzam przybyć do Skutari w końcu miesiąca, będziemy
jechali dalej, choćby nawet wszystkie żywioły sprzysięgły się prze-
ciwko nam!

Van Mitten przywołał więc całą swą odwagę i wypowiedział, nie
bez wyraźnego drżenia głosu, swą sławetną prośbę.

– No dobrze, drogi Kéran – rzekł – jeśli nie masz zbytnio nic
przeciwko temu, to proszę cię o zezwolenie, dla Brunona i dla mnie...
tak... o zezwolenie na nasze pozostanie w Atinie.

– Prosisz mnie o zezwolenie na zostanie w Atinie...? – zapytał Ké-
ran, podkreślając każdą sylabę.

– Tak... pozwolenie... zgodę... gdyż nie chcę nic robić wbrew
twojej chęci... na... na...

– Na nasze rozstanie, czy tak?

– Och! Chwilowe... bardzo krótkie... – dodał pośpiesznie Van
Mitten. – Jesteśmy bardzo zmęczeni, Bruno i ja! Wolelibyśmy wrócić
do Konstantynopola drogą morską... tak...! morską...

– Drogą morską?

– Tak... przyjacielu Kéran... Och, wiem, że nie lubisz mo-
rza...! Nie powiedziałem tego, aby cię zdenerwować...! Bardzo do-
brze rozumiem, że sama myśl o rejsie wydaje ci się wstrętą...!
Uważam więc za oczywiste, że pojedziecie dalej drogą nadbrzeż-
ną...! Znużenie zaczęło jednak czynić dla mnie tę drogę zbyt mę-
czącą... i... przypatrz się tylko, Bruno mizernieje...!

– Ach...! Bruno mizernieje! – rzucił Kéran, nie odwracając się
nawet do nieszczęsnego sługi, który drżącą ręką wskazał swe szaty
zwisające luźno na wychudłym ciele.

– To dlatego, drogi Kéran – podjął Van Mitten – proszę cię, abys
pozwolił nam na pozostanie w miasteczku Atina, skąd osiągniemy
Europę w bardziej dogodnych warunkach...! Powtarzam ci, spotka-

my się w Konstantynopolu... czy raczej w Skutari, tak... w Skutari, i to nie przeze mnie opóźni się ślub mojego młodego przyjaciela Ahmeta!

Van Mitten powiedział wszystko, co zamierzał. Czekał na odpowiedź wielmożnego Kérabana. Czy przyjmie spokojnie tę prośbę, tak naturalną, czy też podejmie jakąś decyzję pod wpływem wybuchu wściekłości?

Holender pochylił głowę, nie odważając się unieść oczu na swego strasznego towarzysza.

– Van Mitten – powiedział Kéraban tonem spokojniejszym, niż można się było spodziewać – Van Mitten, przyznasz chyba, że twoja propozycja mogła mnie zdumieć, a nawet przez swój charakter mogła sprowokować do...

– Drogi Kéraban...! – zawołał Van Mitten, który po tym słowie przeraził się jakiegoś natychmiastowego wybuchu przemocy.

– Pozwól mi dokończyć, proszę cię! – powiedział Kéraban. – Powinieneś wiedzieć, że takie rozstanie przyjąłbym z prawdziwym smutkiem! Dodam nawet, że nie spodziewałem się tego ze strony mojego partnera w interesach, związanego ze mną trzydziestoma latami współpracy...

– Kéraban! – rzucił Van Mitten.

– Och, na Allacha! Pozwól mi wreszcie dokończyć! – zawołał Kéraban, który nie mógł powstrzymać odruchu tak dla niego naturalnego. – Van Mitten, przecież mimo wszystko jesteś wolnym człowiekiem! Nie jesteś ani moim krewnym, ani służącym! Jesteś jedynie moim przyjacielem, a przyjaciel może sobie pozwolić na wszystko, nawet na zerwanie więzów starej przyjaźni!

– Kéraban...! Mój drogi Kéraban...! – mówił Van Mitten bardzo wzruszony tą odpowiedzią.

– Zostań więc w Atinie, jeśli chcesz zostać w Atinie, czy też w Trebizondzie, jeśli zechcesz zostać w Trebizondzie!

Następnie wielmożny Kéraban cofnął się do swego kąta jak człowiek mający wokół siebie obcych, obojętnych mu ludzi, których przypadek uczynił jego towarzyszami podróży.

Dlatego też, jeśli Bruno był zachwycony takim obrotem sprawy, to Van Mitten nie mógł się oprzeć żalowi, że zadał swemu przyjacielowi podobny ból. Mimo wszystko jego plan jednak się powiódł, i choć może przemknęła mu taka myśl, nie zamierzał wycofać swej prośby. Zresztą był tam Bruno.

Pozostawała jeszcze sprawa pieniędzy, zaciągnięcia pożyczki koniecznej czy to w celu pozostania jakiś czas w tym kraju, czy to w celu zakończenia podróży w innych warunkach. Nie powinno to być trudne. Spora część tego, co Van Mitten trzymał w swoim banku w Rotterdamie, powinna niedługo zostać przelana do banku w Konstantynopolu, i wielmożny Kéraban będzie mógł otrzymać zwrot pożyczki w postaci czeku wystawionego przez Holendra.

– Przyjacielu Kéraban? – zagadnął Van Mitten po kilku minutach milczenia, którego nikt nie przerywał.

– Czy coś jeszcze, szanowny panie? – spytał Kéraban, jakby odpowiadał jakiemuś natrętowi.

– Po przyjeździe do Atyny...! – zaczął Van Mitten, którego słowo „pan” ugodziło prosto w serce.

– No właśnie, po przyjeździe do Atyny – podjął Kéraban – rozstaniemy się...! Uzgodniliśmy to!

– Tak, na pewno... Kéraban!

Nie ośmielił się powiedzieć: przyjacielu Kéraban!

– Tak... na pewno... Proszę cię zatem, byś zostawił mi trochę pieniędzy...

– Pieniądzy! Jakich pieniędzy...?

– Drobną sumę... którą zwrócę... przez Bank Konstantynopola...

– Drobną sumę?

– Jak wiesz, wyruszyłem niemal bez pieniędzy... i skoro tak szczerze pokrywasz koszty tej podróży...

– Koszty te dotyczą tylko mnie!

– Racja...! Nie zamierzam zaprzeczać...

– Nie pozwolę wam wydać ani jednego funta – odparł Kéraban – nawet jednego!

– Jestem ci ogromnie wdzięczny – powiedział Van Mitten – ale dzisiaj nie zostało mi ani jedno para, i jestem zmuszony prosić cię o...

– Nie mam pieniędzy do pożyczenia – odparł oschle Kéraban. – Tych, które mi zostały, potrzebuję dla zakończenia podróży!

– Jednakże... czy dasz mi choć...?

– Nic nie dam, powiedziałem ci!

– Jak to? – rzucił Bruno.

– Bruno pozwolił sobie na odezwanie się, jak widzę! – powiedział Kéraban tonem pełnym groźby.

– Na pewno – odrzekł Bruno.

– Milcz, Brunonie – nakazał Van Mitten, który nie chciał, aby to wtrącenie się jego służącego mogło zapoczątkować kłótnię.

Bruno zamilkł.

– Drogi Kéraban – zaczął Van Mitten – chodzi przecież o dość małą sumę, która pozwoli mi spędzić kilka dni w Trebizondzie...

– Mała czy nie, szanowny panie – powiedział Kéraban – niech pan niczego zupełnie ode mnie nie oczekuje!

– Wystarczy tysiąc piastrów...!

– Ani tysiąc, ani sto, ani dziesięć, ani jeden! – rzucił Kéraban, który zaczął się wściekać.

– Co? Nic?

– Nic!

– Ależ wobec tego...

– Wobec tego pozostaje panu tylko dalej podróżować z nami, panie Van Mitten. Nie zabraknie panu niczego! Jeśli jednak miałbym zostawić panu jeden piastr, para, pół para, aby mógł się pan przechadzać dla swej zachcianki... nigdy!

– Nigdy?

– Nigdy!

Sposób, w jaki wypowiedziano owo „nigdy”, miał dać do zrozumienia Van Mittenowi, a nawet Brunonowi, że postanowienie uparciucha jest nieodwołalne. Kiedy mówił nie, było to nie po dziesięciokroć!

Van Mitten był szczególnie zraniony tą odmową Kérabana, kiedyś jego partnera w interesach i do niedawna przyjaciela; odczuwał ją jako trudną do wyjaśnienia, gdyż serce ludzkie, a zwłaszcza serce Holendra, osoby flegmatycznej i wstrzemięźliwej, zawiera wiele tajemnic. Zupełnie inaczej było z Brunonem! Co?! Będzie musiał podró-



Zapukał w drzwi domku stojącego u stóp latarni.

zować w takich warunkach, a może w jeszcze gorszych? Będzie musiał podążać ową absurdalną trasą, odbywać tę bezsensowną wyprawę w karecie, konno, pieszo, kto wie? I wszystko dla zachcianki upartego Osmana, przed którym drżał jego pan! Będzie wreszcie musiał utracić tę resztkę, która została z jego brzucha, podczas gdy wielmożny Kéran, pomimo przeciwności i trudów, utrzymywał swój w majestatycznym zaokrągleniu!

Tak! Ale co robić? Zatem Bruno, któremu pozostało tylko gderanie, gderał w swoim kącie. Przez chwilę marzył o pozostaniu samemu, narażeniu Van Mitten na wszelkie skutki takiej tyranii. Widział jednak przed sobą sprawę pieniędzy, stojącą też przed jego panem, który nie miał z czego płacić mu pensji. Musiał zatem podążać z nim dalej!

Podczas tych rozmów arba posuwała się z trudem. Niebo, straszliwie zaciągnięte chmurami, wydawało się opadać na morze. Ciężkie ryki kipieli¹ dawały znać, że fale narastały. Poza horyzontem wiatr przechodził już w nawałnicę.

Pocztylion popędzał, jak mógł, swoje konie. Biedne zwierzęta ledwo szły. Ahmet pobudzał je także, gdyż spieszo mu było przybyć do osady Atina, nie dało się jednak wątpić, że burza ich wyprzedzi.

Wielmożny Kéran, z zamkniętymi oczami, nie wypowiadał ani jednego słowa. Milczenie to ciążyło Van Mittenowi, który wolałby już porządną burę ze strony dawnego przyjaciela. Wyczuwał dobrze, że w Turku musi narastać uraza wobec niego! Jeśli kiedyś wybuchnie, będzie strasznie!

Wreszcie Van Mitten nie zdzierzył dłużej, pochylił się nad uchem Kéran, aby Bruno nie mógł go słyszeć, i szepnął:

– Przyjacielu Kéran?

– O co chodzi? – zapytał Kéran.

– Jak mogłem się skusić myśli o opuszczeniu ciebie, choćby przez chwilę? – powiedział Van Mitten.

– Właśnie! Jak?

– Mówiąc prawdę, nie pojmuję tego!

– Ani ja! – przytaknął Kéran.

¹ *Kipiel* – fala przybojowa, silna, spiętrzona fala morska przy wyższym wybrzeżu.

Nie powiedzieli nic więcej, ale ręka Van Mittena poszukała dłoni Kérabana, a on przyjął tę skruchę mocnym uściskiem, po którym na palcach Holendra długo pozostał ślad.

Była dziewiąta wieczorem. Zapadła bardzo ciemna noc. Nadciągnął ogromnie gwałtowny huragan. Horyzont rozpałały wielkie białe błyskawice, choć nie było jeszcze słyhać grzmotów. Wichura stała się szybko tak mocna, że wiele razy można się było obawiać przerwócenia przez nią arby. Konie, wyczerpane, przestraszone, zatrzymywały się co chwile, stawały dęba, cofały się, a pocztylion miał wielkie trudności z ich opanowaniem.

Do czego dojdzie w takich okolicznościach? Podróżni nie mogli zrobić postoju bez schronienia, na tym klifie¹ wystawionym na zachodnie wiatry. Miasteczko zaś mogli osiągnąć dopiero za pół godziny.

Ahmet, bardzo zaniepokojony, nie wiedział, co zrobić, kiedy za zakrętem brzegu w zasięgu strzału ze strzelby pojawiło się bardzo jasne światło. Dochodziło z latarni morskiej² w Atinie, wzniesionej na klifie przed miasteczkiem, która w ciemnościach rzuciła mocny blask.

Ahmet postanowił poprosić o gościnę na noc u latarnika, który musiał być na posterunku.

Zapukał w drzwi domku stojącego u stóp latarni.

Tylko kilka chwil później, a wielmożny Kéraban i jego towarzysze nie oparliby się atakom nawałnicy.



¹ *Klif* (faleza) – urwisko brzegu morskiego lub jeziornego powstające na wysokich wybrzeżach wskutek niszczycielskiej działalności fal.

² W Pazar nie ma latarni morskiej, może chodzić o dawną wieżę strażniczą, jedyną pozostałość warowni Kız Kalesi (Zamek Dziewczyny), zbudowanej na przybrzeżnej skale 800 m na zachód od miasta.

Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!